

Czy promienie „Z” są promieniami śmierci?

Sekret Dunikowskiego

Wywiad z obrońcą wynalazcy, adwokatem Legrand

Po ogłoszeniu w prasie francuskiej sensacyjnego oświadczenia eksperta inżyniera Bonna, zainteresowanie wynalazkiem Dunikowskiego wzrasta we Francyi z dnia na dzień. Obrońca Dunikowskiego w jego procesie w r. 1933, głośny adwokat paryski J. C. Legrand postanowił wystąpić z wnioskiem o rewizję procesu i rozpoczął kampanię prasową za rehabilitacją Dunikowskiego.

Ponieważ sam wynalazca unikając dziennikarzy, reporterzy oblegają eksperta Bonna i adwokata Legrand. Tygodnikowi „Benjamin” udało się zdobyć wywiad z adwokatem Legrand, w którym właściwie po raz pierwszy szczegółowo opisany jest aparat Dunikowskiego i odsłonięty rąbek sekretu, chroniącego tajemnicę promieni „Z”.

DOŚWIADCZENIE MEC. LEGRAND

W biurze mec. Legrand honoruje miejsce na biurku adwokata zajmująca tubka szklana, zaplombowana z obu stron. Legrand przechowuje w niej decygram złota, jaki sam otrzymał z piasku złotodajnego, przeprowadzając w San Remo doświadczenie z promieniami „Z”.

— Ach, więc to jest złoto wyrabiane przez Dunikowskiego?

— O, przepraszam — zawołał Legrand — bardzo przepraszam, nigdy nie powiedziałem, że Dunikowski „fabrykuje” złoto... Dunikowski wynalazł tylko nowy sposób wydobywania czystego

złota z piasku złotodajnego, dzięki niemu możemy otrzymać znacznie większą ilość niż przy dotychczasowych metodach. Oto przykład: ekspert-chemik, który przyjechał ze mną z Paryża, przywoził w zapieczętowanym worku ziemię złotodajną. Połowę poddałmy stosowanemu dotychczas sposobom chemicznym i można było zaledwie znaleźć kilka słabych śladów złota, drugą połowę umieściliśmy na płaszczyźnie aparatu, poddanej działaniu promieni „Z”, a po naświetleniu zastosowaliśmy te same metody chemiczne, co poprzednio. Okazało się, że ziemia naświetlana promieniami Dunikowskiego dała małą sztabkę czystego złota.

PROMIENIE „Z” ZAPALAJĄ LAMPĘ

Główny sekret aparatu Dunikowskiego polega na zastosowaniu odkrycia ojca wynalazcy, równie inżyniera, który odkrył ciało promieniotwórcze, nazwane następnie protonem. Ów „proton” — mówi mec. Legrand — jest właściwą tajemnicą promieni „Z”. Dunikowski wzdryga się udzielać jakiegokolwiek informacji o istocie „protonu”, wiem tylko tyle, że jest to ciało, spotykane w niewielkich ilościach na terenach powulkanicznych, w lawie, przyczem im głębiej sięgać w krater, tem więcej protonu. Proton, podany działaniu prądu elektrycznego, promieniuje bardzo intensywnie, o tem właśnie promieniom mówił Dunikowski, stwierdzając, że promienie Z są istotą jego wynalazku.

Poza próbami otrzymywania złota z piasku złotodajnego przeprowadzono jeszcze kilka zupełnie różnych doświadczeń, mających określić właściwości promieni „Z”.

Oto — według opowiadania Legrand’a — w końcu pokoju wstawioną lampę łukową, oczywiście nie połączoną z prądem. Dunikowski skierował na nią promienie wysyłane przez umieszczony w tubce proton. Lampa stała w odległości 4-ch metrów od aparatu mimo to, między węglowymi elektrodami lampy przeskoczyła silna iskra.

Teraz zastąpiono lampę miniaturowym modelem samolotu, napelnionym bawełną i papierem. Pod działaniem promieni „Z” bawełna zapaliła się. Promienie

„Z” są zatem — twierdzi Legrand — bardzo silnym prądem elektrycznym, przebiegającym w atmosferze podobnie, jak promienie Roentgena.

JAK WYGLĄDA APARAT DUNIKOWSKIEGO?

Aparat Dunikowskiego, według opowiadania adwokata wynalazcy, jest bardzo prosty. Składa się właściwie z małej platformy, na której rozsypane są ziemię i protonu, połączonych z źródłem prądu. „Promienie „Z” — mówi Legrand — bombardują złotodajny piasek i zbierają złoty pył, spełniając w ten sposób pracę, jaką przyroda wykonywała w ciągu całych stuleci”.

NIE MOŻE BYĆ MOWY O OSZUSTWIE

— Nie może być mowy o jakimkolwiek oszustwie, czy podstępnie — zastrzegę się adwokat — piasek złotodajny, którego używaliśmy do doświadczeń, przywieźliśmy sami z Paryża, dla ab-

solutnej pewności Dunikowski nie przeprowadzał doświadczeń, tylko wytłumaczył nam działanie aparatu. Wówczas, kolejno ja, ekspert Bonn, kilku obecnych dziennikarzy, wydobywaliśmy złoto. Każdy zabrał sobie na pamiątkę grudek otrzymanego złota i stąd właśnie pochodzi moja zaplombowana próbówka na biurku...

Do wywiadu obrońcy Dunikowskiego, dającego jeszcze jedno stwierdzenie, że Dunikowski istotnie udoskonalił metodę wydobywania złota, trzeba jednak dodać, że właściwość promieni „Z” zapalania lampy na odległość w dzisiejszym stanie wiedzy i wobec eksperymentów Marconiego, nie jest rewelacją, pozbawiającą uciechy dla ciała promieniotwórczego, wysyłającego promienie „Z” nazwy „proton”, oznaczającej we współczesnej fizyce część atomu. Oczywiście z tym naukowym protonem nie znany bliżej proton Dunikowskiego nie ma nic wspólnego.

Bakalerstwo uczonego Na sobie wypróbował serum przeciwrakowe

Niemal prawie miesiąc, żebyśmy nie słyszeli o nowych próbach wyświeślenia istoty raka i nowych metodach zwalczania tego strasznego cierpienia. Coprawda, jak dotychczas, żadna z nich nie spotkała się z całkowitem uznaniem świata naukowego, tem niemniej pewnością dziś jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki, niż kilka lat temu. W laboratorjach i klinikach wro pracę badawczą, dokonywane są najrozmaitsze próby.

Ostatnio donoszą z Paryża o odkryciu nowej surowicy przeciwrakowej. Odkrycie to zasługuje na szczególną uwagę przez wzgląd na osobę odkrywcę.

Dnia 25 lutego na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu wygłosił referat nefer Miecznikowa, prof. Besredka z Instytutu Pasteura, w którym przedstawił wyniki swych badań, przeprowadzanych od szeregu lat w Instytucie w kierunku uzyskania surowicy przeciwrakowej. Próby dokonywane były na zwierzętach. Po zastrzyknięciu podskórnym surowicy, otrzymanej z tkanki rakowej, tworzy się obrzęk miejscowy, który po pewnym czasie ginie. Następnie już można bez obawy zwierzęciu w ten sposób szczeniaku zastrzykiwać tkankę rakową. Nie

stwierdza się przy tem żadnych objawów, występujących zawsze przy stosowaniu takich zastrzyków u zwierząt nieudopomnianych.

Prof. Besredka, będąc głęboko przekonany o słuszności wynalezionych metod, dokonał próby na sobie, jak się okazało, z wynikiem dodatnim.

„Zuzu” w kinie „Filharmonja”

Józefina Baker ciągle jeszcze jest gwiazdą paryskiej rewii, ale szalona moda „czarnej Venus” dawno już minęła. Etrazjerzy nie jeżdżą do Paryża oglądać ekscentrycznych tańców mulatki. Baker spróbowała odwiedzić estrazjerów. Przy pomocy filmu.

„Zuzu” ma wszelkie cechy dobrego francuskiego smaku filmowego. Pierwsza część filmu — losy nieszczęśliwej miłości przysparza przez francuską rodzinę dziewczyny-mulatki, jest bardzo dobrze wyreżyserowana i doskonale zagrana. Zdaje się, że Baker zmieniłaby miejsce-hall na teatr. Po premierze „Zuzu” w Paryżu sensacją filmową było odkrycie dramatycznego talentu tancerki.

Marjawici ekspozyturą masonerii Rewelacje „arcybiskupa” Kowalskiego

PŁOCK, 6.3 (KAP). Wielką sensację wywołał artykuł zdetrzonizowanego przywódcy marjawitów, Kowalskiego, w ulotce wydanej w Plocie z datą 7 b. m. p. t. „Zbuntowani zgłoszyli się z masonami”.

„Niech to będzie wszystkim wiadome, że przywódcy buntu połączyli się z masonami. Dowody tego faktu podamy wówczas, kiedy będą temu w piśmie przesyłać...”

W dalszym ciągu „arcybrai” Kowalski dowodzi, że „zbuntowani” feldmanowcy potanawszyszy służby zakonne, utracili prawo mieć za żony

siostry zakonne, bo tylko pod tym warunkiem dozwolone im były związki małżeńskie z siostrami... teraz żyją nie w małżeństwie, lecz w niezręczności...”

Kowalski nie myśli poddać się i „nie pragnie też, by zbuntowani duchowni powrócili pod jego władzę”, jest nawet zadowolony, jak pisze, że „uwolnił się od zdradcy”, którym „milsza była siatka, niż święty...”

A więc walka wśród sekciarzy trwa nadal z coraz większą zaciętością.

Na ekranach

„Dla Ciebie śpiewam” w „Casino”

Tytuły filmów Kiepuru odrazu starczyłyby za recenzję. Czy będzie to „Neapol, śpiewające miasto”, czy „Pieśń nocy”, czy „Dla Ciebie śpiewam”, zgóry wiadomo, że idziemy właściwie na recital śpiewaczy. Zatem — im więcej śpiewu, tem lepiej.

W nowym swym filmie Kiepura śpiewa niemal bez przerwy, zaczyna piosenką „Manuelo”, a kończy wielkimi arjami z „Tosca”.

Pierwsza część filmu — romantyczna przygoda na statku z pasażerką bez biletu — zawodzi z winy kłóśnię uśmiechniętej, nieruchawej i nudnej Marty Eggerth, zato — gdy już rozpiewa się Kiepura i film jakby ożywa, na koniec finał jest doskonałym wykorzystaniem efektów filmu dźwiękowego.

Tego samego wieczoru, gdy w oficjalnej operze grają „Tosca” i gruby tenor mizdrzy się, jako Cavaradossi, wędrowną trupą śpiewaczki, nie mogąc dostać engagement, urządza przedstawienie na placu operowym, pełne młodzieńczości i życia. Na tle kontrastu między rutyną operową, a śpiewem Kiepuru (niezły pomysł reklamowy naszego tenora), zjawia się happy end. Z opery uciekają widzący, byle tylko posłuchać opery na ulicy. Dyrektor wszystkich angażuje, Marta Eggerth rzuca się Kiepurze na szyję (niema czego zazdrościć), a dyrygent wędrownego zespołu przeżywa chwilę triumfu. Triumf jest prawdziwy — gdyż jest to najlepiej zagrana rola w filmie.

Z. B.

„Nowi ludzie” w „Majest cu”

Nowy obraz sowieckiej produkcji jest bardziej zbiorem doskonałych

zdjęć, naprawdę artystycznie ujętych kompozycji ekranu, niż filmem w ścisłym znaczeniu słowa. Przy całej finezji fotograficznej i reżyserskiej brak zasadniczego elementu filmu: ruchu. Teatr zwycięża nad filmem, który bierze odwet w zdjęciach przyrody.

Treść filmu: nadwołżański Czerebis dostaje się do domu poprawczego, tam, zamiast przeżyć przez przysłowiową katordzę studniencę, staje się światnym muzykiem. A potem, charakterystyczne, nie szuka oklasków na wielkich estradach koncertowych, wraca do swoich, spłacić dług społeczeństwu. Kultura sowiecka idzie wszędy. Propaganda także. Dobry obraz sowiecki bije dziś u nas na głowę ostatnie polskie filmowe premjery.

Z. B.

Podróżuj samolotem

czyć nawrotem do Prusa. Kiedy miał trzydzieści lat temu weszczynaliśmy ze Stanisławem Brzozowskim pierwszą wesołą wojenkę ideową z Sienkiewiczem („Głos” 1906), równocześnie ze względów taktycznych Brzozowski przeciwstawił wówczas często już zasypiającemu Homero- wj wiecznie czujnego, zadziernego, aktywnego, przespoleczniego realiste, statystyka, organizmika, mentora z „Kronik Tygodniowych”.

W danym wypadku robi się jednak rzecz dobra jeżeli się wyściaga z zapominania solidnego, zdrowego, rodzinnego i konstruktywnego pisarza o wielkim, czystym jak złom złota talencie pisarza zmarłego, jeżeli panuje nieurodzaj na takichże żywych.

Nie trzeba tylko egzagerować i wpadać w patetyczne przesady kabotyństwa na mile zlatujące. Niech ta i firma zrobi kapitalny business, niech i „Akademia” odzyszcze nymbus, niech i profesori przytem wygadują swoje uroczyste a zawsze bezdennie płytkie nikielne truizmy... ale... ale „mebli zaraz niszczyć” nie należy. Prus był prawie polskim Dickensem, ale ani „jednym z najgłębszych myślicieli” ani „genjuszem” (jak papla Papkiny) nie był.

Autor „Faraona” miał zato dar wielkiej odwagi cywilnej. Jakże też byłoby nastawienie tego humanitarysty (dziś do takich problemów, jak Brześć lub Bereza?...)

Adolf Nowaczyński

Kronika tygodniowa

Lat temu 57, w marcu, w nocy przy ul. Towarowej czterech czy pięciu młodych ludzi napadło na pewnego wracającego z teatru pocztującego literata. Ulica Towarowa nie była wtedy jeszcze późniejszą oślawioną „rue de bagage”, rzęsiście oświetloną, bo pełną t. zw. maison de tolerance; te mieściły się w owe czasy przy ul. Freta. Ulica Towarowa miała małe, piętrowe domki i ogródki i była bardzo lichy oświetlona. Napad miał więc miejsce w ciemnościach. Ale sprawcy nie pozostali niezłapani, bo nie byli... wyjęci. Blisko był komisariat policyjny w kamienicy narożnej. Broczący krwią literat miał jeszcze czas zdążyć do bramy, tak że natychmiast zjawiała się i młoda małżonka literata i stróż domowy, który narobił takiego alarmu, że „stójkowym”, t. j. policji, oczywiście rosyjskiej (carskiej) udało się zaraz wyłapać wszystkich napastników i spisać z nimi „protokół”. Sprawa była dość blaha, więc sprawców nie pociągnięto do dalszej odpowiedzialności. Literat poszedł na kilka miesięcy do szpitala, gdzie się szybko wyleczył, poczem wyjechał po raz pierwszy zagranicę. Przed jesienią wrócił. Pokiereszowany musiał być jednak dość mocno, bo napadło czterech czy pięciu. Bronić się też jednak musiał, gdyż był jeszcze młody (po naszymu), a w kwiecie wieku męskiego po ówczesnemu (31 lat).

Pisywać zaczął literat niedawno. Miał za sobą dwie opowiadki wydane w tomikach („Palac i

Rudera”, „Duszo, w niewoli”) i był jednym ze stałych współpracowników pisma „Nowiny”, redagowanego przez niejakiego Piliza. Do tych „Nowin” dawał literat feljetoniki, recenzjki, migawki, fintyluski, lari - fari, to i tamto, wrażeńka z premier i z odczytów.

Kiedy więc do Warszawy z odczytami przyjechał z Petersburga słynny, młody adwokat o renomie wielkiego postępowca i liberała (piszący prawnicze prace także i do gazet rosyjskich), a nowy współpracownik warszawskiego „Ateneum”, „Nowiny” wydelegowały na prelekcję tego literackiego adwokata obiecującego autora „Palacu i Rudery”.

Mecenas Spasowicz mówił także i o Polu. Nie o Opolu, a o Polu. Był wtedy taki poeta o olbrzymiej sławie, znaczeniu i potęgę; kiedy zmarł, porównywano go z królem Dawidem, z Dantem, z Goethem, a popularnością prześcignął nie tylko Mickiewicza, ale nawet Kraszewskiego. Otóż o tym niedawno zmarłym Polu mówił Spasowicz z picytym, z rewerencją („na Wawel z nim”), ale zarzucał mu przy okazji, że Pol zanadto poetyzował i apoteozował Polskę szlachecką, a w tej przeszłości także i bat, batóg (kańczug) jako instrument wychowania młodzieży. I kiedy progresista Spasowicz zaczął lekko gasić tradycjonalizm Pola, wtedy młody akademik, znajdując się na odczycie, nagrodziła te „rewolucyjne” zwroty huraganem oklasków.

Literat z „Nowin” taka w tem

miejsu owacja młodzieży zirytowała. Pisał tedy w numerze z 17 marca 1878:

„Na drugim odczycie kiedy p. S. rzucił słowo, że Pol był tylko znakomitym antykwaryuszem nie zaś historykiem, stojąc z boku stał do młodzieży uderzył brawo. Ten wybuch cielecjej wesołości był tak nie stosowny i dziwny, że ludzie rozsądni do dziś dnia nie mogą zrozumieć powodu. Dlaczegoż podobał się tak wyraz antykwaryusz i dlaczego nie dali brawa po wyrazie wszakże albo po nieważ?... Tajemnicze zjawisko dowodzące nie tyle ponieszenia pojęć ile raczej kłopot nie dobrze widzących. Ja sądzę, że powód oklasków był głębszy. Pol apoteozował batóg stosowane do niesfornej młodzieży, więc gdy p. S. zrobił Pola antykwaryuszem a temsamem usunął bat nby miecz Damoklesa zawieszony nad dziećmi, zainteresowała w sprawie część publiczności w taką wpadła uciechę, że aż zrobiła gupstwo!”

Jak widzimy z przytoczonego ustępu, ton reprenndy był jak na owe czasy dość silny, a młody literat nie obwijał prawdy w bawełnę.

Oburzona młodzież wysłała delegatów do redakcji „Nowin”. Autor notatki przeprosił (jeżeli się czują obrażeni), ale umieszczenia jakiegokolwiek sprostowania odmówił i pisał dalej. Jeszcze dnia 2-go marca drukują „No winy” jeden jego artykuł, poczem następuje napad, przerwa i współpraca się urywa.

Napastnikom przewodził Stanisław Mendelsohn, syn bankiera i jeden z założycieli P. P. S., poczem esdek, poczem współpracownik krakowskiego „Czasu”, wreszcie Syjonista. Baktór Sawicki, któremu Herzyngowie przypisywali przewód w napadzie, udziału nie brał, natomiast brali udział założyciele i ideolodzy dwóch wielkich ugrupowań poli-

tycznych, to jest Jan Popławski i dr. Kazimierz Dłuski. Już w kwietniu tegoż roku (1878) „Ateneum” wydrukowało oba odczyty Spasowicza, a w sierpniu wyleczony Aleksander Prus Głowacki przeszedł do redakcji „Kurjera Warszawskiego”.

Dziś w lat 57 od tej napaści przeżywamy okres renesansu Prusa. Moc pism i moc pisarzy przebiega się w entuzjzmie i w superlatywach.

W oficjalnej „Gazecie Polskiej” formalna ekstaza w znanym afektowanym stylu:

„Ktoż nam lepiej, spokojnie i godnie opowie o wiecznych wartościach życia, jak nie On, Bolesław Prus, choć już tak bardzo kochany, to jednak wciąż jeszcze niedoceniony w naszym społeczeństwie i jako jeden z największych artystów słowa i jako jeden z najgłębszych myślicieli, podających myśl głęboką w prostej a pełnej najwyższych oroków formie słowa!”

Jeszcze więcej patetycznej Tar tufferie i minoderji znajdujemy oczywiście u Nieśmiertelnika z „Poranniaka”:

„Pod popiołami rozsądku, strzeżone przez pozytywizm i legalizm, w duszy Prusa tliły się zawsze iskry konradowego buntu i szalu, przedzierając się wybuchami ognia w chwila najmniej spodziewanych, a rozstrzygających dla danego konfliktu”.

I t. p. Jakże więc pięknie, jak tklawie, czule i wzruszająco piszą teraz o nieboszczyku, co „wielki, bo wam z oczu zszedł”. Czego o Prusie nie wypisywali za życia za to, że dość wyrażnie i mocno obstawiał z ugodą i brał w obronę ugodowców. Dobrze to pamiętamy! A teraz podciągają go aż pod Prometeizm rewolucyjny i robią zeń omal prekursora „czynu zbrojnego”.

Równocześnie atoli bakalarze-filistry chcą znów uprzystępnić dla mieszcucherii autora „Placówki” robią z Prusa jakiegoś „dobrego wujaszka” czy „dobrego pasterza” zacności, gołębiego serca nauczyciela dla dorastającej młodzieży starszego wieku obojga płci. Kładą największy nacisk na „prostotę”, na „pogodę”, na „kochajmy się”.

Tymczasem ani był Prus z „Wieczorów pod Lipą” ani z Oleandrów. Czepianie się opończy Prusa przez sanacyjnych filutów literackich przy akompanjamentie entuzjazu „Naszych Przeglądów”, „Nowych Dzienników” i t. p. wzbudza podejrzenie, że ten cały renesans aranżuje się oprócz dla „Firmy” także i na złość, na przekór komuś trzeciemu. Tak bywa w Polsce. I na szrokiem świecie także. Często i gęsto nieboszczykami bije się żyjących, a nawet i niewygodnych... zmarłych.

Tym razem ekstazy nad Prusem zwrócone są „podświadmie” przeciw Sienkiewiczowi, a częściowo przeciw Świętochowskemu: Czerwony Świętoszek tym trybem dalej zamierza „w cień usunąć imperjalistę (i autora „Krzyżaków”) Sienkiewicza, a biały Kato i tyk katedralny w jednej osobie kombinuje i kalkuluje, że Prusem znów (jak przed 30 laty) utraci się „chłopomana” Świętochowskiego, przez psanacyjnych brytanów ostatnio życzliwie obskakiwanego.

W każdym jednak razie dzieje się rzecz dobra a nawet doskonała. Już cztery lata temu w „Myśli Narodowej” nawoływało się aby snobizm na Prousta le-